

„Wolę czytanie od pisania” – jubileusz literacki Jerzego Pomianowskiego

Iwona Smolka: Witam państwa serdecznie w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Polskiego PEN Clubu oraz Domu Kultury Śródmieście na dzisiaj, zupełnie wyjątkowym jubileuszu literackim Jerzego Pomianowskiego. Profesor skończył dziewięćdziesiąt lat 13 stycznia tego roku. Witam też aktorów: panią Dorotę Segdę, która przyjechała na dzisiaj uroczystość specjalne z Krakowa, żeby czytać wiersze Anny Achmatowej tłumaczone przez jubilata, oraz Andrzeja Ferencę. Witam także Michała Komara. Chciałam zacząć od rozmowy z profesorem, ale nie zgodził się na to i powiedział „ja na końcu”. Proszę w takim razie Michała Komara o wygłoszenie pierwszej laudacji.

Michał Komar: Jerzy Pomianowski jest pisarzem, eseistą, tłumaczem, poetą, autorem sztuk teatralnych, scenarzystą filmowym, wykładowcą uniwersyteckim, recenzentem wrażliwym, a gdy zajdzie taka potrzeba, bezlitosnym, znawcą stosunków polsko-rosyjskich, twórcą i redaktorem naczelnym miesięcznika „Nowaja Polska”, psychiatrą, myśliwym, uwodzicielem i podróżnikiem. Ujmijmy rzecz najkrócej: aby być Jerzym Pomianowskim, trzeba wyróżniać się licznymi talentami, mądrością i pamięcią gorzkich przygód z losem, trzeba więc – po kolei – urodzić się w Łodzi 13 stycznia 1921 roku, studiować filozofię u Tadeusza Kotarbińskiego na Uniwersytecie Warszawskim, przeczytać opowiadania Izaaka Babla w przekładzie swojego stryja Mieczysława Birnbauma, który w czasie wojny 1920 roku był człowiekiem Józefa Piłsudskiego do specjalnych poruczeń – przyszedł do niego nie z PPS, a z SDKPiL, dlatego znał wszystkich ludzi sowieckich polskiego pochodzenia; później z ramienia Piłsudskiego pertraktował z bolszewikami, między innymi w Mińsku, natomiast w 1940 roku został zamordowany w Katyniu. Trzeba też – w porwyie młodości odwagi – w 1939 roku pojechać do Stanisława Ignacego Witkiewicza, by posłuchać jego apokaliptycznych przepowiedni i nie uwierzyć w nie; zostać rannym we wrześniu 1939 roku i zrozumieć, że apokaliptyczne przepowiednie sprawdzają się częściej, niż chciałoby się w to wierzyć. Trzeba pracować w kopalni Krasnopolie w rejonie Brianka w obwodzie woroszyłowgradzkim, później pojechać do Tadżykistanu i rozpocząć w mieście Stalinabad studia medyczne, wreszcie trafić do Moskwy i być redaktorem Polskiej Agencji Prasowej Polpress oraz dowiedzieć się, że Izaak Babel padł ofiarą czystki. Trzeba poznać Annę Achmatową, Borysa Pasternaka i Kornieja Czulkowskiego. Trzeba też zostać psychiatrą z dyplomem Instytutu Medycznego w Moskwie. Trzeba pojechać do Warszawy, by zająć się teatrem i filmem, pisać sztuki, tłumaczyć z polskiego na polski, że twórczość na przykład Bertolda Brechta nie jest dziełem z gruntu obcej nam, towarzysze, ideologii, a z rosyjskiego na polski przekładać poezję Anny Achmatowej, Osipa Mandelsztama, Aleksandra Puszkina, Borysa Słuckiego, opowiadania Antoniego Czechowa, komedie Eugeniusza Szwarca, Michaiła Bułhakowa i dramaty

Lwa Tołstoja, przede wszystkim zaś przetłumaczyć całość dostępnych dzieł Izaaka Babela. Trzeba też ustrzelić dwudwudziestaka i szarżującego odyńca. Trzeba wyemigrować z Polski do Włoch, być profesorem literatury polskiej na uniwersytetach w Bari, Pizie i Florencji, tłumaczyć na włoski utwory Aleksandra Fredry i Karola Wojtyły, pisać do paryskiej „Kultury” i, za namową jej redaktora naczelnego Jerzego Giedroycia, przełożyć na polski *Krąg pierwszy* i *Archipelag Gułag* Aleksandra Solżenicyna, a następnie wydać te tłumaczenia jako Michał Kaniowski. Trzeba publikować eseje i artykuły w „Tempo Presente”, „Mondoperaio”, „La Fiera Letteraria”, „La Quinzaine Littéraire”, „Documenta”. „Documenta” to szczególnie ważne czasopismo, które wywarło w sposób niezauważalny ogromny wpływ na historię Polski. Trzeba wrócić do kraju w 1992 roku i wydać co najmniej sześć książek eseistycznych, nie licząc wielu przekładów, no i stworzyć miesięcznik „Nowąją Polszą”. Mamy powody, by podejrzewać, że w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat było wielu takich, którzy chcieli zostać Jerzym Pomianowskim. Jednak za sprawą mądrości, talentu i pamięci gorzkich przygód z losem umiał to zrobić tylko jeden. *Ad multos annos*, Jerzy!

To była część pierwsza laudacji. A teraz parę przypisów. Mieczysław Birnbaum – tabliczka upamiętniająca go od wielu, wielu lat wisi, warszawiaczy to wiedzą, na ścianie (od strony cmentarnej) kościoła św. Karola Boromeusza.

Jeśli idzie o wizytę u Witkacego, to w tym spotkaniu uczestniczyła też młoda, powabna, piękna i inteligentna pani, która miała za zadanie co jakiś czas wybuchać śmiechem i wprawiać tym w konsternację wszystkich oprócz Witkacego.

Stalinabad wcześniej i później nosił nazwę Duszanbe, co po tadżycku znaczy ponie-działek.

Akademia Medyczna nosi teraz imię Awicenny.

Jeśli idzie o Kaniowskiego – przy tym wątku chciałbym się na dłużej zatrzymać – Michał Kaniowski, jak państwo pamiętają, jest bohaterem *Płomieni* Stanisława Brzozowskiego oraz pseudonimem Jerzego Pomianowskiego. Na tę postać literacką złożyły się dwa życiorysy – jeden z nich to biografia Michała Graczeńskiego (członka komitetu wykonawczego Narodnej Woli), który był uczestnikiem przygotowań do zamachu na Aleksandra II, towarzyszył Sofii Pierowskiej w obserwacji przebiegu zamachu, popełnił samobójstwo w Szlisselburgu przez samospalenie. Drugi życiorys to biografia przedstawiciela rodu Kaniowskich, który sam o sobie pisał: „Pan Bóg, gdy stwarzał Kaniowskich, był roztagniony i trochę przesolił; każdy Kaniowski sterczy w świecie tak, jak kość w grdyce, wrzucić go do młyńca – koła i kamienie popękają”. Warto może przypomnieć jeszcze jedną postać z rodu Kaniowskich, Mikołaja, którego kije i szpicruty w armii carskiej przekonały zasadniczo o równości skóry chłopskiej i szlacheckiej. Mikołaj i jego rodzina byli powodem zgorszenia opinii szlacheckiej. Skazany na służbę wojskową na Kaukazie przeżył, skłócony z ojcem został cieślą. Pamiętam, z jaką nienawiścią wymieniano jego nazwisko, zwłaszcza gdy cieśla z Kaniowskich, cham Kaniowski, w czasie zebrań obywatelskich w sprawie włościańskiej, pojawiać się na nich zaczął i mówić znakomitą polszczyzną o cyceronowskich okresach prawdy tak zgrzebne i chamstwem cuchnące, że aż to w końcu generał i gubernator kijowski rozkazał mu wyjechać z miasteczka,

w którym mieszkał. Nie przeszkadzało to opinii szlacheckiej ogłosić chama Kaniowskiego zdracjną. Wiadomo było, że służył w wojsku i dostał nawet żołnierski Krzyż św. Jerzego. Nie przeszkodziło to też Murawiewowi – kilka lat później – powiesić w Wilnie upartego cieślę, który został schwytany gdzieś na Żmudzi, na czele chłopskiego oddziału. Szlachta prędko zapomniała o tej śmierci. Ten Kaniowski nie jest przypadkiem.

Jeżeli chodzi o trofea myśliwskie, to dwudwudziestak był bykiem o wieńcu, który miał jedenaście odnóg. Warto dodać, że dwudwudziestak nieregularny posiada tylko jedną taką odnogę, a regularny dwie. O innych sukcesach myśliwskich Jerzego Pomianowskiego można przeczytać w „Res Publice” z maja 1989 roku. Bardzo to pikantne opowieści.

A teraz jeszcze kilka słów o wczesnych latach sześćdziesiątych. Poszedłem wtedy do kina, już nie pamiętam na co. Film okazał się mało ważny, ale poprzedzony był prezentacją Polskiej Kroniki Filmowej zawierającej sprawozdanie z STS-u, w którym Wojciech Siemion recytował *Armię Konną*. Niezwykle przejąłem się tym występem, poszedłem do księgarni i kupiłem mały tomik z serii Nike. Wróciłem do domu, położyłem się do łóżka i zacząłem czytać. Późnym wieczorem, właściwie w nocy trafiłem na opowiadanie Guy de Maupassant, które mówi o przygodzie Izaaka Babla z pewną panią nieumiejącą robić przekładów. Ta pani bardzo chciała zrozumieć, jak można tłumaczyć. Ten tekst kończy się takimi słowami: „Doczytałem książkę do końca i wstałem z pościeli. Mgła podeszła pod okno i przesłoniła wszechświat. Serce mi się ścisnęło, tknęło mnie przecucie prawdy”. Kiedy to przeczytałem, wyobraziłem sobie Jerzego Pomianowskiego, który czyta i tłumaczy utwory Izaaka Babla, a dzięki temu wszyscy stoimy w tym oknie i mamy przecucie prawdy. Jerzy, bardzo ci dziękuję!

Iwona Smolka: W krótkim wstępie do sztuki *Sodoma i Odessa*, którą napisał pan Jerzy Pomianowski, jest takie zdanie: „Wolę (...) czytanie od pisania i podziwiam kolegów, którzy mają inne gusta, ale im nie zazdroścę”. Jak na kogoś, kto napisał tyle tomów, nie wspomnę o tym, ile stron przetłumaczył, to stwierdzenie wydaje się po prostu rewelacyjne i bardzo trafne.

Jerzy Pomianowski: To jest prawda. Czytanie to mój zawód. Pisaniem zajmuję się w wolnych chwilach.

Iwona Smolka: Dużo zostało panu książek do przeczytania?

Jerzy Pomianowski: Cała masa. Przeczytałem tylko drobną ich część. To jest jedna z dwóch rzeczy, których najbardziej mi żal, żałuję, że nie zdążę przeczytać tych książek, które przeczytać jeszcze chciałbym.

Iwona Smolka: Nikt z nas nie zdąży przeczytać całej biblioteki, która została zgromadzona na świecie, ale sądząc po tym, jak wiele pan napisał, to ilość lektur musiała być po prostu porażająca.

A teraz czas na poezję. Wiersze Anny Achmatowej przeczyta pani Dorota Segda.

Dorota Segda:

„Tygodniami tu z nikim dwóch słów nie zamienię,

Przesiaduję na brzegu kamieniem,

Bo to ulga, że gorycz ta sama jest prawie

W bryzgach fal i we łzach, co je dławię.
Były zimy i wiosny bywały, a jednak
W pamięć wrosta mi tylko ta jedna:
Rozjaśniły się noce i śnieg zaczął tajać.
Wysłałam z domu popatrzyć na pełnię
I, spotkany w sośniaku, na cichych rozstajach,
Ktoś zapytał mnie, obcy zupełnie:
– Czy nie ciebie to szukam na świata bezdrożu?
Czy nie tobą to, z dawna, od wieku,
Tak się cieszę i trapię, jak siostrą najdroższą?
– Nie! – odparłam. – Nie, obcy człowieku.
Ale kiedy poświata zajrzała mu w oczy,
Dłoń mu dałam bez chwili wahania,
A on pierścień darował mi, pierścień uroczy,
Który ustrzec mnie miał od kochania.
I powiedział mi, po czym rozpoznać tę stronę,
Gdzie nam znów jest spotkanie sądzone:
Morze, smukła latarnia, zatoki kolisko,
Wreszcie – piołun, znak znaków i omen.
Jak się wszystko zaczęło, niech skończy się wszystko.
I nic więcej nie powiem już. Amen”.

(Sewastopol, 1916)

Przeczytam państwu jeszcze jeden wiersz, o którym kiedyś opowiadał mi Jerzy Pomianowski. Moim marzeniem byłoby, żebyś powtórzył państwu tę historię.

Jerzy Pomianowski: Później.

Dorota Segda: Jerzy dostał ten wiersz od Anny Achmatowej, a następnie go przetłumaczył. To było jego pierwsze ukazanie się drukiem.

„Jeden to szuka prostych dróg
Światami płuży inny;
Chce wrócić na ojczysty próg,
Do swojej chce dziewczyny.

A ze mną źle; mnie gna mój los
Nie skosem i nie prosto,
Lecz w nigdy, w nigdzie, w nic i w noc –
Jak pociąg na łeb z mostu”.

(1945)

Iwona Smolka: Ile miał pan lat, kiedy przetłumaczył pan ten wiersz?

Jerzy Pomianowski: Zapewniam państwa, że te wiersze wydają mi się bez wieku i to jest najważniejsze.

Iwona Smolka: A jak wyglądało spotkanie z Anną Achmatową?

Jerzy Pomianowski: Mieszkiałem wtedy i studiowałem medycynę w mieście, które zwało się w owym czasie Stalinabad, a dzisiaj znów nazywa się Duszanbe – tak jak słynny kiszlak tadżycki, z którego to miasto wyrosło. Do tej stolicy najbardziej środkowo-azjatyckiej i najbardziej azjatycko-środkowej republiki sowieckiej ewakuowano z oblężonego Leningradu znakomitych poetów, pisarzy i aktorów. Cały świetny Teatr Komедii kierowany przez wielkiego scenografa i nie gorszego reżysera Nikołaja Akimowa również został tam przetransportowany samolotami i osiedlony razem z kierownikiem literackim, wybitnym pisarzem i jedynym znanym mi dysydentem sowieckim, któremu udało się umrzeć we własnym łóżku, Jewgienijem Szwarzem (udało mu się, ponieważ jego sztuki takie jak: *Smok*, *Cień*, *Najzwyczajniejszy cud* – grane niekiedy nawet u nas – uchodziły za baśnie dla dzieci, a w NKWD twórcami dla dzieci zajmowała się nie ta sama komórka, która troszczyła się o pisarzy tekstów dla dorosłych i z tej przyczyny za wykroczenia, takie jak choćby pisanie o Bożi albo za opowiadanie o zjawach, duchach i innych nieistniejących zjawiskach groziły skromne kary, na przykład zakaz druku lub przesiedlenie do innego miasta, podczas gdy pisarzami utworów adresowanych do dorosłych opiekowano się znacznie troskliwiej, a tym samym traktowano ich bardziej surowo; Szwarca nie spotkał ten los).

Razem z nimi przeniesiona została do Stalinabadu również wytwórnia filmowa Sojuzdetfilm (a wraz z nią zatrudnieni tam aktorzy), która w nowym miejscu osiedlenia próbowała kontynuować swoją działalność i nadal robić filmy dla dzieci. Nie byłem już wtedy dzieckiem, ale pomimo tego ci znakomici ludzie poświęcili mi trochę czasu, za przyjaźniłem się z niejednym z nich i dowiedziałem się, że zostali wysłani do Stalinabadu samolotami startującymi z lodu jeziora Ładoga podziurawionego niemieckimi bombami. Byli zatem ewakuowani bynajmniej nie ze względu na szczególną pieczę Kremła okazywaną artystom, ale głównie dlatego, że obawiano się, że po zajęciu Leningradu przez Niemców, przypadkiem wpadną w ich ręce, co wydawało się nieuniknione i podzielnym los najwybitniejszego żyjącego (Stanisławski już umarł, a młodzi zdolni byli wówczas początkującymi rzemieślnikami) reżysera Siergieja Radłowa, który znalazł się na terenie okupowanym przez Niemców, został schwytyany i skłoniony do założenia teatru. Ów teatr napsuł sporo krwi jego pierwszej, sowieckiej ojczyźnie.

Wśród aktorów znajdowała się wspaniała osoba, Faina Raniewskaja, kobieta już nie-młoda, należąca do najbardziej kochanych i rozstawionych gwiazd teatru, autorka niezliczonej ilości anegdot i wspomnień teatralnych (wyszła cała książka, nie jej autorstwa, za to poświęcona właśnie jej oraz zabawnym przygodom, których była bohaterką). Faina Raniewskaja okazała się osobą poważną, bardzo serio zakochaną w Annie Achmatowej, nie tylko dlatego, że mieszkały w jednym mieście i że aktorka znała wszystkie jej wiersze na pamięć. Raniewskaja miała takie przekonania – tak bym to nazwał, bo nie chcę używać płochych, ani tym bardziej głupich określeń stosowanych do opisu tego rodzaju namiętności i sympatii. Aktorka dowiedziała się, że Achmatową osiedlono w Taszkencie w odległości wieluset kilometrów od miasteczka tadżyckiego, w którym spotkaliśmy się, i namówiła mnie, żebym asystował jej w podróży, ponieważ bała się napaści, a ponadto

towarzystwo drapieźnych mężczyzn, którzy zajmowali się przewożeniem z jednego miasta do drugiego worka mąki albo kaszy, nie bardzo ją bawiło i dlatego szukała innego kompana. Zgodziłem się na to i zamiast wędrować – jak to wędrowało się wtedy na dachu wagonu towarowego – udało mi się (dzięki temu, że Raniewskaja była znana z niezliczonych filmów i cieszyła się wielką sławą) dostać przepustkę ręcznie napisaną przez naczelnika stacji do wnętrza jednego z tych wagonów towarowych. Ominęły nas po drodze zarówno przygody, jak i rojące się wszędzie wszy, aż wreszcie dotarliśmy do Taszkientu, gdzie Achmatowa, najwspanialsza poetka szóstego kontynentu, jakim jest i była Rosja, przyjęła nas na zapyłonym skwerze-placyku obok hotelu. O ile mnie pamięć nie myli, ulica, na której mieścił się ów hotel, nosiła imię Karola Marksa. Jednak nic, oprócz ustroju, nie wskazywało na jego obecność w tym mieście. Tam właśnie obie panie pogrążyły się w rozmowie, a ja stałem z boku, aż do chwili, gdy Anna Andriejewna zapytała Raniewskają, kim jest ten mężczyzna, który stoi obok parkowej ławki (do dziś pamiętam, że ta ławka pozbawiona była właściwie przeseł poprzecznych, prócz jednego, na którym siedziały obie kobiety). Raniewskaja chciała powiedzieć, kim jestem, ale ja, zamiast się przedstawić, podszedłem do Achmatowej i po polsku odczytałem jej ten wiersz, który tak cudownie zinterpretowała dla państwa pani Dorota Segda. To wystarczyło, aby poetka powiedziała mi: „jeżeli ta wojna się skończy, proszę poszukać mnie albo w Leningradzie (mieszkam tam w Fontannym Domu) albo w Moskwie”. Ponieważ do mieszkania w Leningradzie dokwaterowano inną rodzinę, więc nie było wykluczone, że poetka osiedli się po wojnie właśnie w tym drugim mieście, w mieszkaniu wnuczki Lwa Tołstoja, pani Tołstoj, która była dyrektorką muzeum tego genialnego prozaika w Jasnej Polanie, ale miała również lokum w Moskwie – tam zwykle zatrzymywała się Achmatowa. Spotkaliśmy się z nią dzień po jej triumfalnym popisie w sali związków w Domu Sojuzów w Moskwie, a dwa dni przed ukazaniem się w „Prawdzie” miażdżącego artykułu napisanego przez Andrieja Żdanowa, w którym poetka oraz Michaił Zoszczenko zostali wyklęci, co sprawiło, że jedynie w ciągu tych dwóch dni widziałem Achmatową dwulub trzykrotnie. Poetka chciała mi wręczyć książkę, a musiała ją przecież jeszcze zdobyć, bo jej utwory od lat nie wychodziły. To był pierwszy jej publiczny występ po wielu latach milczenia. To bardzo unikalna książka zatytułowana *Iz sześciu ksiąg* [Z sześciu ksiąg – dopisek redakcji]. Dostałem ten tom od poetki, ale nie od razu. Po tym zdarzeniu zamilkła na wiele lat, pozbawiona została chleba i spokoju. Można o tym przeczytać w książce albo jednego z jej wielbicieli, Anatolija Najmana, albo u Josifa Brodskiego, który należał do młodych przyjaciół poetki i uważał się za jej wychowanka.

Iwona Smolka: Panie profesorze, chciaabym zapytać pana o pierwszą lekcję, czyli o Łódź i o pańskiego nauczyciela Mieczysława Jastruna, a potem o kolejne lekcje, jakimi stały się na przykład wykłady we Włoszech, wreszcie o lekcję Giedroycia, która, jak sądzę, była dla pana bardzo ważna.

Jerzy Pomianowski: Drodzy państwo, pani Iwona ma dar niebezpieczny. Gdybym chciał jej postuchać i odpowiedzieć na te pytania, to ukradłbym państwu kilka godzin. A nie tylko nie ośmielam się tego robić, lecz także myślę, że i państwo by mi tego

nie darowali. Dlatego jedynie w największym skrócie powiem państwu o kilku epizodach, które wyjaśnią – chociaż częściowo – zjawisko, jakiemu sam się dziwię. Zwierzę się państwu, że przypadła mi bardzo rzadko spotykana dola polegająca na tym, że nigdy nie wykonywałem zawodów, których bym nie lubił. Nawet dwa lata częściowo spędzone w kopalni wspominam z wielką satysfakcją, ponieważ zacny doktor Ustimenko, wykrywający u mnie żółtaczkę, odseparował mnie od moich towarzyszy pracy na poziomie 600. kopalni Krasnopolie i zmusił komendanta do umieszczenia mnie na oddziale zakaźnym powiatowego szpitala. Wprawdzie znajdowałem się wówczas pod strażą, ale pobyt tam dopomógł mi tym samym w przeżyciu tego okresu. Czas spędzony w kopalni był jednak dla mnie ważny, dał mi bowiem pierwszą znajomość tego, co dzieje się na dzień. A najciekawsze rzeczy w Rosji – jak uczy sztuka Gorkiego – właśnie na dzień się dzieją. I dlatego – zamiast rozwozić się nad moimi własnymi losami – chcę państwu powiedzieć, co dodałbym do tych niestychanie ważnych dla mnie słów, jakie przed chwilą usłyszałem. Będzie to coś w rodzaju króciutkich przypisów. Pozwolą państwo, że podejmę niektóre zarysowane wcześniej wątki. Byłem uczniem Mieczysława Jastruna, ojca Tomasa. To on wyłatał polonistykę i propedeutykę filozofii w polskim społecznym gimnazjum męskim w Łodzi. Snułem się za nim po korytarzach w czasie wielkich pauz, patrząc jak w tęczę na jego odrzucone do tyłu mickiewiczowskie włosy (właśnie w tym czasie mój nauczyciel pracował nad biografią Mickiewicza i przebierał się za romantycznego wieszca). Obaj wariaci byli obserwacji. Jastrun to poeta wybitny i ja, aby mu zaimponować, nauczyłem się wielu jego wierszy na pamięć, a następnie przesładowałem go prośbami o rymy do moich własnych dziecięcych utworów, na co z reguły odpowiadał krótko, ale dobitnie: „Nie jestem rymarzem”. I tyle się od niego nauczyłem.

Resztę wyczytałem w lekturach, z którymi kazał mi się zapoznać. Książki odgrywały w moim życiu rolę najważniejszą. To było tak, jak o tym napisała nasza koleżanka, która została potem klasykiem duńskiej literatury: „Czytałem, zamiast żyć”. To samo mógłbym i o sobie powiedzieć, gdyby nie szereg nieprzypadkowych wypadków, które odrywały mnie od lektury i w ten sposób kazały mi także trochę pożyć. Jednym z nich stała się na przykład znajomość z Witkiewiczem, z którym korespondowałem dość długo i odpowiadałem na jego zaproszenia do Warszawy, w których namawiał mnie na bardziej szczegółowe rozmowy na tematy przeważnie filozoficzne. Byłem wówczas po lekturze książki Witkacego *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia*. Odpowiadałem zwykle, że niecierpiące zwłoki zajęcia trzymają mnie ciągle z dala od Warszawy. Byłem wtedy w szóstej czy siódmej klasie mojego gimnazjum i dlatego oczywiście nie mogłem wyjechać, kiedy chciałem, ale swoje pierwsze kroki po maturze skierowałem właśnie na ulicę Bracką 23, do oficyny opisanej mi przez Witkiewicza zawczasu i odważyłem się zapukać do jego drzwi. Co było dalej, dowiedzą się państwo z książki, którą pewna, obecna tu na sali dama, zdolna do wystuchiwania moich długich opowieści, zamierza ogłosić pod tytułem *Wybór zwierzeń*. Nie chcę wymieniać nazwiska autorki tej książki, ponieważ zepsułbym i sobie, i jej – niespodziankę. To, co ona tam napisze, a co będzie pewnym referatem, skrótem tego, co mogłem jej opowiedzieć, powinno być zaskoczeniem także dla mnie samego.

Co do przygód wojennych, to muszę dodać do tego, co państwo wcześniej usłyszeli, że znalazłem się w Stalinabadzie jedynie dlatego, że tuż po wyjściu z kopalni zgłosiłem się do Rejonowej Komendy Uzupelnień, czyli Wojenkomatu z prośbą o zgłoszenie mnie do posługi tam, gdzie tworzyła się Armia Andersa. Odpowiedziano mi twierdząco, jak to zawsze robią Rosjanie. Wyglądało to tak jak odpowiedzi Radia Erewań, z których każda zaczyna się od zdanka: „W zasadzie tak, ale...” – i tu następuje ciąg dalszy. Znajdą państwo na pewno jeden z najkrótszych responsów Radia Erewań. Na pytanie słuchacza, co by się stało, gdyby komunizm zwyciężył na Saharze, spiker odpowiedział: „W zasadzie doskonale wiadomo, co by się stało, ale jedna rzecz jest nieunikniona: po trzech latach zabrakłoby piasku”. W ten sam sposób dowiedziałem się, że chwilowo będę musiał kopać rowy przeciwlotnicze, co okazało się zajęciem uzasadnionym, ponieważ samoloty niemieckie już nadlatywały nad miasto, które niegdyś nazywało się Juzowka od nazwiska pierwszego przedsiębiorcy, Anglika, a potem, kiedy ja tam trafiłem – nosiło miano Stalino, obecnie zaś nazywa się Donieck i jest stolicą wschodniej Ukrainy. W czasie kopania rowów przeciwlotniczych zostałem ranny odłamkiem bomby nieostrożnie rzuconej przez zupełnie nieznanego mi Niemca, któremu nie wyrzodziłem żadnej krzywdy. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To przysłowie znajduje swoje potwierdzenie w moim życiu niemal na każdym kroku. Dzięki temu umieszczono mnie w pociągu sanitarnym, który przez Dagestan dojechał do Morza Kaspijskiego. Tam przesadzono mnie i innych rannych towarzyszy podróży na tanker (nie był to Tanker Derbent, ale inny tanker z tej samej floty). Na dnie tego statku – nad zenzą – leżały dechy, na których staraliśmy się wypocząć i przepłynąć Morze Kaspijskie. Żeby załatwić banalną potrzebę fizjologiczną, trzeba było wspiąć się po drabinie sznurowej na wysokość trzeciego piętra, czyli aż do wyjścia na pokład, co nie było łatwe dla człowieka rannego w jedną z kończyn dolnych. W końcu jednak dotarłem na drugi brzeg, a stamtąd udało mi się dostać do Tadżykistanu – do miasta Duszanbe. Rozmawiałem dużo z Tadżykami, a nawet powiem więcej, przez jakiś czas wydawało mi się, że potrafię rozmówić się w dialekcie języka staroperskiego, *fārsi*, którym mówią do dzisiaj mieszkańcy tego kraju i zarazem bezpośredni potomkowie poddanych Cyrusa II Wielkiego czy Kserksesa. Do dzisiaj pamiętam jedynie jedno zdanie znajdujące się w ankietach, które trzeba było co miesiąc wypełniać w dwóch językach. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy jak ja byli studentami, czyli inteligentami, a więc podejrzanymi z natury rzeczy. Każda ankieta zaczynała się od słów: *Nomi padari wa mādari*. Chodziło, jak państwo pewnie od razu zrozumieli (jest to bowiem język wywodzący się z sanskrytu jak większość języków europejskich), o podanie imienia ojca i matki.

Muszę dodać, że wyciągnęła mnie stamtąd zupełnie zapomniana już poetka, jedna z najpiękniejszych niewiast, jakie w życiu widziałem – Elżbieta Szemplińska, która dawniej we Lwowie walczyła o tytuł najzagorzalszej komunistki z Wandą Wasilewską, ale bardzo szybko przejrzała na oczy. To ją, ciężko chorą, spotkałem w pociągu sanitarnym, który od Morza Kaspijskiego zawiózł mnie aż do podnóży Pamiru. Trafiła później do Moskwy i tam – jako słynna jeszcze przed wojną poetka lewicowa – znalazła dla siebie miejsce

w Związku Patriotów Polskich. Dzięki niej zostałem polecony ludziom, którzy organizowali Agencję Prasową „Polpress” (tak nazywała się wówczas Polska Agencja Prasowa) i tak oto spod Pamiru trafiłem do Moskwy. Ale to wszystko znajdą państwo w książce, której mam nadzieję się doczekać, o ile pani Joanna Szwedowska (wyjawię jednak nazwisko autorki) zechce ją napisać. Chwilowo tylko tyle.

Bardzo proszę, aby pani lwona nie ciągnęła mnie już za język, bo jestem ciekaw tego, co nam powie pan Ferenc.

Andrzej Ferenc: Ja mam do przeczytania dwa wiersze Mandelsztama. Pan profesor powiedział, że jeśli państwo nie zaczną rzucać pomidorami, to mogę przeczytać jeszcze trzeci.

„Brnąłem wieczoru wczorajszego
– po pas bez mała w grzyskim śniegu –
z nieznanego mi przystanku.
Wtem – widzę chatę; w drzwi wchodzi:
czaj piją mnisi, solą słodzą,
a z nimi droczy się cyganka.
Siedzi cyganka na pościeli,
raz w raz zalotnie okiem strzeli,
mizerne prośby mieląc w ustach.
Siedziąta z nimi do zarania
Prosząc: »Podaruj, złoty panie,
choć szal, choć byle co, choć chustę...«
Co przeminęło, to nie wraca;
dębowy stół i nóż na tacy,
a w zamian chleba – jeź brzuchaty.
Nie mogli śpiewać mimo chęci,
a więc przez okno, w kabłąk zgięci
Na dwór cisnęli się garbaty.
Minęto pół godziny. Czarne,
garncami odmierzane ziarno
z wilgotnym chrzęstem żują konie.
Skrzypią wrzeczadze o świtanu,
turkocze zaprzęg na majdanie
i pierwsze ciepło czują dłonie.
Zgrzebne ciemności rzedną ranem;
– to cienkusz, kredą zabielały
szynkuje za darmochę nuda,
a poprzez półprzejrzystą szmatkę
sączy się z okna dnia serwatka
I miga w locie wrona chuda”.

* * *

„Tak, za chwałę tych dni, co nadejdą tu w końcu
I za ludzkiej godności sprawę
Oto zbyłem się miejsca przy stole mych ojców
I radości, i czci swojej nawet.

Wiek, jak brytan wilkowi do gardła mi skacze,
Lecz ja wilkiem nie jestem, nie jestem.
Jak się czapkę pcha w rękaw, tak pchnij mnie już raczej
W duszny kozuch Syberii leśnej.

Byle tchórza nie widzieć i brudu nie widzieć
Ani kołem łamanych kości,
Niech z dna nocy polarnej błękitny lis wyjdzie,
Niech mi załśni w mroźnej piękności.

Prowadź w noc, gdzie Jenisej przetacza się, milcząc,
Tam, gdzie sosna do gwiazdy się wspina,
Bo nie jestem ja wilkiem i krew mam nie wilczą.
I niech z ręki równego mi zginę”.

„Za grzech, żem poniechał twych rąk i dlatego, że solę
Wzgardziłem warg twoich rzewnych, za to na pewno
Do świtu muszę tu czuwać w głuszy ścian akropolu.
Jak nienawidzę odoru butwiejącego drewna!

Mężowie achajscy po ciemku ciosają już konia
I piły zębate w tarcicę wdzierają się gwałtem.
A krwi tumult suchy nie cichnie i tłucze się w skroniach
I nie ma dla ciebie imienia, ni dźwięku, ni kształtu.

Jak mogłem pomyśleć, że wrócisz, jak mogłem, jak śmiałem,
Dlaczego wyrzekłem się ciebie niewczesnie, niebacznie?
Ciemności nie pierzchły, koguty wciąż jeszcze nie piaty
I topór gorący dopiero w pień wbijac się zacznie.

Żywy łzą przezroczystą spłynęły bierwiona
I czuje gród swoje żebra i wszystkie są z drewna,
Lecz krew już naciera, już rwie się do drabin, czerwona
I mężom trzykrotnie już mara zwidziała się zwiewna.

Gdzie Troja najmiłsza, gdzie alkierz panieński królowny?
Ty runiesz w połodze, Pryjamów ptaszarnio wyniosła!
Strzały drewniane padają suchym deszczem ulewnym
I w odwet ziemia strzałami niby leszczyną porosta.

Już gwiazdy ostatniej ułtucie bez bólu zagasło,
Poranek o szyby zatlucze się szarą jaskółką,
I dzień opieszają, jak wół obudzony przy jastach,
Już wstaje ze ściółki zmierzwionych po nocy zaułków”.

Iwona Smolka: Proszę teraz o zabranie głosu Michała Jagiełłę, który chciałby coś powiedzieć.

Michał Jagiełło: Wspaniały, młodzieńczy mój patriarcho, mistrzu dystansu! Mieczysław Orski i cały zespół wrocławskiego miesięcznika „Odra” poprosili mnie, żebym w ich imieniu pokłonił się jubilatowi i podziękował za to, że istnieje – to więc czynię jako ich społeczny, niepłatny wystannik. Wykorzystam tę okazję i podziękuję ci także od siebie za to, że tak ułożyły się sytuacje, nie chcę mówić: losy, że mistrz i redaktor Jerzy Giedroyc zatelefonował kiedyś do mnie jako do dyrektora Biblioteki Narodowej i powiedział: „Pan będzie wydawcą miesięcznika »Nowaja Polska«”. W pierwszej chwili przeraziłem się, bo nie wiedziałem, skąd wziąć na to pieniądze. Udało się jednak uruchomić przedsięwzięcie dzięki panu ministrowi Bronisławowi Geremkowi oraz pani minister Joannie Wnuk-Nazarowej i innym. Dziękuję ci, mistrzu, że działałeś jako wystannik sytuacji i losu i że mogliśmy razem pracować przez jakiś czas. Wszystkiego dobrego!

Iwona Smolka: Czy ktoś z państwa chce jeszcze zabrać głos?

Głos z sali: Chciałem powiedzieć, że dąb o nazwisku profesor Pomianowski ma znacznie więcej gałęzi niż profesor Komar nam wymienił. Na przykład: kto był scenarzystą dobrego filmu *Godziny nadziei* z połowy lat 50. A wady? Patriarcha ma prawo mieć wady. Jerzy Pomianowski jest najbardziej apodyktycznym człowiekiem, z jakim zetknąłem się w życiu, a trzeba powiedzieć, że parę osób w swoim lekko patriarchalno-półśrednim wieku zdarzyło mi się spotkać. Nie ma na świecie drugiego takiego jak Pomianowski. Można go zabić albo pokochać. Nie miałem wyboru, zrobiłem to drugie. Wiem dlaczego. Przygotowywałem kiedyś audycję z Wojciechem Siemionem, który zaprosił do studia pana Jerzego. Pan Jerzy wspomniał, że nawet Wierzyński napisał wiersz o Siemionie i pięknie ów wiersz przeczytał. Wówczas ja jako *advocatus diaboli* przypominałem, że Witold Filler był autorem zgrzyźliwego tekstu na temat domnianego wiersza o Siemionie, zatytułowanego *Siemiony, polne siemiony*. Utwór traktował o badyłach na polskich łąkach. Na to pan Jerzy odparł: „Filler? Już dawno mianowałem go »obesturm-Fillerem«”. Na tym zakończyła się cała sprawa. Odjęło mi mowę, ponieważ argument był dosyć przekonujący. Panie Jerzy, Kocham pana, a nie jestem Raniewską, a pan nie jest Achmatową – cokolwiek by to znaczyło. Dziękuję bardzo.

Jerzy Pomianowski: Deklaruję panu wzajemność i bardzo dziękuję.

Kolejny głos z sali: A co pan lubił czytać w czasach gimnazjalnych? Jaką poezję i jaką prozę? Myślę, że to rzutowało na pana późniejszą działalność translatorską.

Jerzy Pomianowski: Drodzy państwo, po tylu pochwałach trudno mi usiedzieć w miejscu, zwłaszcza że mam do czynienia ze środowiskiem, o jakim mogłem tylko marzyć. Zaraz powiem, co mam na myśli, ale najpierw muszę odpowiedzieć na pytanie. Nauczyłem się czytać na szyldach mojego rodzinnego miasta Łodzi, bo mama posyłała mnie po chleb albo mleko. Przy okazji pewnego dnia zostałem wyznawcą lewicy – nie powiem „marksistą” (miałem wtedy zaledwie pięć lat). Zostałem posłany po jajka do wspaniałego kupca o imieniu Mendel. Mieszkał on tuż za rogiem, na ulicy, na której się urodziłem. Z okien naszego parterowego mieszkania pod adresem Juliusza 3 widać było nawet witrynę jego sklepu. Wszedłem tam ze złotówką w rękę i zobaczyłem, że obok pana Mendla, który w szarym fartuchu stał poważnie za ladą i gładził brodę, znajdował się włościanin trzymający na głowie ogromną tacę z kilkoma mendlami jajek. Dostuchałem się takiej oto rozmowy: „No to jakże, panie Wojciechu – powiedział pan Mendel – ile płacę od sztuki?”, „Trzy grosze” – odparł włościanin, na co pan Mendel odpowiedział: „Więcej jak dwa nie mogę dać”. „No, niech będą dwa” – zgodził się pan Wojciech. I wtedy, trzymając w rękę złotówkę, zrobiłem decydujący w mojej karierze umysłowy krok i powiedziałem: „Panie Mendel, ja tu więcej do pana nie przyjdę. Pan jest wyzyskiwaczem. Mama mi kazała kupić pięć jajek, a ja już umiem liczyć – wychodzi po dwadzieścia groszy od jajka, a pan chce panu Wojciechowi za to płacić dwa od sztuki”. Wyzyskiwacz – tak powiedziałem. Odwróciłem się, wróciłem do domu, a mama mnie posłała do innego przekupnia, który nosił przezwisko „Dziad”. „To pójdziesz do Dziada – powiedziała mama – i kupisz od niego te brudne jaja. Albo pójdziesz do Poddębic, gdzie mieszka pan Wojciech i kupisz od niego, u źródła”. Za godzinę lub dwie ojciec, który był technikiem włókienniczym i odpowiadał za produkcję w fabryce braci Zajdenwurm (jeden z nich z obawy przed proletariatem miał w gabinecie rewolwer, a drugi trzymał u siebie naboje), wrócił do domu. Zdjął chude paletko i zapytał mamę, czy obiad gotów. Mama odpowiedziała: „Obiad gotów, ale musisz wiedzieć, że masz w domu bolszewika”. To tyle, jeśli chodzi o moje poglądy. Natomiast do czytania książek zachęciły mnie nie tylko szyldy, lecz także latarenka na baterię, którą udało mi się zdobyć. Z jej pomocą czytałem pod kołdrą książki, na których lekturę mi nie pozwalano. Pierwszą, jaką przeczytałem, nie rozumiejąc co drugiego słowa, była powieść biograficzna o Beethovenie, napisana przez Witolda Hulewicza. Nazywała się, o ile dobrze pamiętam: *Przybłąda boży. Beethoven. Czyn i człowiek*. Jak wynikało z pięknego autografu, ta książka to podarunek autora dla mojej bardzo urodziwej wtedy ciotki Heleny Gruszeckiej, słynnej aktorki występującej w warszawskich teatrach komicznych. W porównaniu z nią ojciec był swego rodzaju wyrodkiem w rodzinie. Mój dziad, znakomity kompozytor, dyrygent i muzyk Abraham Ber Birnbaum, reformator muzyki synagogałnej, który jako pierwszy wprowadził organy do polskich synagog, wstydził się, że jeden z jego synów jest jedynie technikiem włókienniczym, ponieważ wszyscy inni zostali artystami albo literatami, tak jak mój stryj Mietek (była już tutaj o nim mowa). Książki czytałem zatem od wczesnego dzieciństwa

i, jak łatwo mogą państwo stwierdzić, jedyną pewnie w oczach osób trzecich dobrą cechą mojego późnego wieku jest to, że czytanie mi nie zaszkodziło. Przeciwnie, sądzę, że tylko temu zawdzięczam moją odporność na rzeczywistość. Mam ją dlatego, że większą część życia spędziłem w świecie, o którym dziś uczeni mężowie mówią „wirtualny”, czyli tym z książek. Może dzięki niemu jestem tak wytrzymały na rozmaite przemiany, które zachodzą. I może z tej przyczyny raz po raz wydarzają mi się takie cuda jak to, że uważam za najwybitniejszego polskiego politologa znanego państwu na pewno piłkarza Zbigniewa Bońka. A to dlatego, że zapytany, czym jest IV Rzeczpospolita, odpowiedział: „Jest to projekt zamiany naszego kraju w więzienie śledcze”. Osobiście zatrzymałem się na tym i o kolejne diagnozy już nikogo innego nie pytałem. To mi wystarczyło, nie potrzebowałem doświadczenia. Na szczęście nie doznałem żadnych prześladowań ze strony projektantów teje. Tu jednak kończą się zarty.

Chcę teraz państwu powiedzieć kilka słów z całą powagą. Nie przeżyłbym takiej jak dzisiaj satysfakcji, gdybym jubileusz dziewięćdziesięciolecia obchodził w młodym wieku. Dzisiaj to jednak o wiele lepiej smakuje. Chcę państwu rzec, co zamierzam zrobić, jeżeli łaskawy Bóg pozwoli mi jeszcze przebywać w waszym towarzystwie jakiś ograniczony, ale wystarczający do namysłu czas. Powiedziałem z powagą, że największą radość i satysfakcję mam z tego, że jestem dzisiaj wśród nie tylko świętych, lecz także cierpliwych i wymownych przedstawicieli najznakomitszej części naszego społeczeństwa, wśród polskich inteligentów. Jestem zdania, i bardzo proszę, aby je państwo przyjęli nie jako przypadkowe wyznanie, ale jako wyraz mojego głębokiego przekonania, że inteligencja stanowi hormon wzrostu całego społeczeństwa. Kto tego nie rozumie, będzie musiał koncepcje, wynalazki, pomysły, projekty kupować za granicą, a ten, kto to rozumie i docenia, może przyczynić się do tego rozwoju, który mimo wszystko nasze społeczeństwo przeżywa. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy przyniesienia ogromem pomyłek, błędów, teorii i nie widzimy tego, co dostrzec można jedynie, jeżeli ma się pewne doświadczenie. I tu zakończę tym, co możecie nazwać pochwałą starości. Mimo że nie rozumiem wciąż tego słowa i dzięki mojej drogiej żonie Aleksandrze nie czuję żadnego jego ciężaru, zdaję sobie sprawę, że w oczach tak przenikliwych ludzi jak ci, którzy tu o mnie mówili oraz tych, którzy chcieli tych wypowiedzi słuchać, wydaję się z pewnością stary. Chcę jednak powiedzieć: panie, panowie, starość to przywilej, nie dla innych, lecz dla tych, którzy mogą korzystać z jej doświadczenia. Antropologowie chętnie wskażą państwu przykłady dokumentujące prawdę tego stwierdzenia. Jedynie plemionom, które miały starszą, udało się przetrwać tak zwane burze dziejowe i najcięższe wypadki w historii ludzkości. Również senat rzymski – *senatus* – pochodzi od słowa oznaczającego starość, radę starszyzny. *Senectute* to starość w pewnej odmianie łaciny urzędowej używanej zarówno w starożytności, jak i w średniowieczu. Ale nie to jest przywilejem, o którym mówiłem. Uprzedzając to, co może zechce napisać pani Joanna Szwedowska, chcę się państwu zwierzyć, że wszystko to, co teraz przeżywam, jest o wiele jaskrawsze, jaśniejsze, zabawniejsze i o wiele bardziej intrygujące niż to, co udało mi się przeżyć w ciągu długich lat mojego tak zwanego dorosłego wieku. Wszystko, cokolwiek obecnie

widzę, czytam, ludzie, których oglądam, drzewa, pod którymi z radością się przechadzam, są przeze mnie odkrywane wciąż na nowo, ponieważ wydaje mi się, że doświadczam tego po raz ostatni. Jest to uczucie, które zupełnie odświeża każde wrażenie. Dzięki niemu cała rzeczywistość wydaje mi się nowa, wspaniała, godna zachwytu i podziwu. Irena Szymańska, sławna wydawczyni, która była moją pierwszą piętnastoletnią miłością, a potem przyjaciółką, napisała cudowną książkę wspomnień zatytułowaną *Miałam dar zachwytu*. Szymańska umarła już dwanaście lat temu i nie dożyła mojego wieku, ale dar, o którym pisała, odwiedził mnie z chwilą, kiedy zacząłem zastanawiać się nad tym, że inni spotykani albo znajomi ludzie mówią mi, że jestem stary. Powtarzam, dowiedziałem się tego i odtąd zacząłem spoglądać na świat inaczej. Może nie żartocznie, ale z poczuciem podziwu i zdziwienia. A wiedzą państwo, że dzieło artysty polega w istocie tylko na tym, aby wywoływać uczucie zdziwienia wobec rzeczy już opatrzonych, wobec spraw i zjawisk, których codziennie się doświadcza i o których urodzie po prostu się zapomina. Zadanie artysty polega na wywoływaniu tego uczucia zdziwienia, podziwu, czasem nawet zachwytu. Można to nawet nazwać jego powołaniem i jedynym powodem, który pozwala nam go oklaskiwać albo czytać z tą żartocznością, z którą ja rzucałem się na książki. Dziękuję.

Dorota Segda: Przeczytam teraz – na prośbę małżonki pana profesora – wiersz *Odtamki* Anny Achmatowej, który wydaje mi się zbyt smutny jak na dzisiejszą okoliczność:

I

„Stoję – z ognia i z wody wyzuta,
Rozłączona z jedynym synem,
Na szafocie, pod pręgierzem, pod knutem –
Niby pod monarszym baldachimem.

II

I zapędził się w żarze polemik
Aż na lud jenijskiej równiny.
Dla was to jest spiskowiec, nikczemnik,
Dla mnie – mój syn jedyny.

III

Siedem tysięcy wiorst i trzy.
Tam nie dobiegnie matczyzny krzyk.
Tam się zatraci w polarnym wietrze,
Przez gąszcz udręczeń tam się nie przedrze.

Tam odczłowieczą cię, zgnoją do cna,
Ostatni, pierwszy, jedyny, miły,
A tu – koczuje nieczuła wiosna
U leningradzkiej mojej mogiły.

IV

Czy, i kiedy, i komu mówiła,
To, co śmiała powiedzieć w tej chwili –
Że katorga jej syna zgnoita
i że Muzę jej zabatożyli?!

Zasłużyła na sroższą karę,
niż zbrodniarze, już dani katu.
Będzie dla niej to zaszczyt nad miarę
Poniewierać się w domu wariatów.

V

Wy mnie w końcu na haku krwawym
Wywiesicie, jak rzeżne zwierzę,
Żeby tłum turystów ciekawych
Mógł chichotać, nie mogąc uwierzyć.

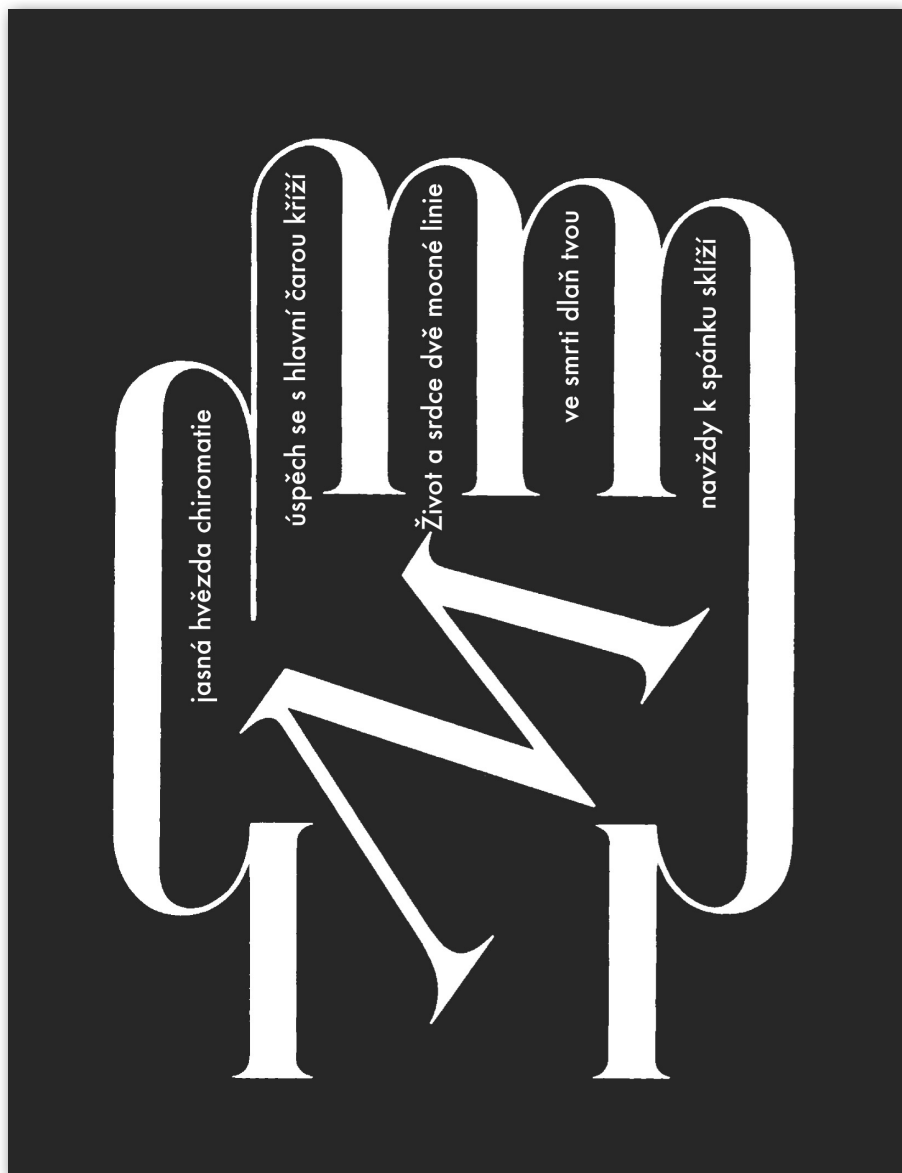
I napiszą ich zacne gazety,
Że wybitny wygaśł mój talent,
Że poetka, no tak, lecz niestety,
Zegar dziejów nie dla mnie bił wcale”.

Iwona Smolka: Bardzo państwu dziękuję.

**Jubileusz Jerzego Pomianowskiego odbył się 21 lutego 2011 roku
w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**



Eva Kovačevičová-Fudała, *Typografiki do poezji Vítězslava Nezvala „Abeceda”*



Eva Kovačevićová-Fudala, *Typografiki do poezji Vítězslava Nezvala „Abeceda“*